№ 45. Warszawa, dnia 29 Października (10 Listopada) 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Cudowne ocalenie, jakiego doznała NAJJAŚNIEJSZA RODZINA w straszliwej katastrofie kolejowej, zaszłej w dniu 29 października pod stacyą Borki, na linii kolei Kursko-Azowskiej, napełnia radosnemi uczuciami serca wiernych poddanych. Życie WŁADCY tylu milionów dusz, życie JEGO NAJDOSTOJNIEJSZEJ MAŁŻONKI i DZIECI wisiało na włosku. Opatrzność nie dozwoliła, aby pasmo życia tyle ważącego w losach Ojczyzny i Europy zostało przecięte, gdy tyle i tak wielkich zadań ma w przyszłości przed sobą. NAJJAŚNIEJSZY PAN, nasz NAJMIŁOŚCIWSZY MONARCHA i wszyscy CZŁONKOWIE JEGO RODZINY ocaleli, gdy dokoła groza śmierci siała zagładę. W uczuciu wielkiej radości z tak cudownego ocalenia, w dniu 1 listopada odbyły się uroczyste nabożeństwa dziękczynne w świątyniach tutejszych, przepełnionych wiernymi. Wieczorem w teatrach na żądanie publiczności wykonąny był przed widowiskiem hymn „Boże Cesarza chroń!"

POETKI CZESKIE.

SKREŚLIŁ

Zenon Przesmycki.

III.

ALBINA DWORZAKOWA-MRACZKOWA.

Rozczarowanie i niezadowolnienie ze świata silniejszem stokroć tętnem biją w utworach tej poetki, urodzonej w Rzepicy pod Strakonicami 1850 roku, niż winnych poetkach o których poprzednio mówiliśmy, i stokroć silniejszy znajdują tu oddźwięk w sercach naszych, stokroć większe budzą w czytelniku współczucie, a to dlatego, że są więcej uzasadnione, że wywołało je niejedno niepowodzenie egzaltowanej zresztą miłości, ale rzeczywista ciężka dola i przeciwności życia. Bo wyobraźmy sobie talent wielki, talent prawdziwy, który przy odpowiedniem wykształceniu pierwszorzędną mógłby może na niebie poezyi zabłysnąć gwiazdą, jak łaknie nauki, jak dąży do niej wszystkiemi siłami, a tu podwoje świątyni wiedzy, które niestety! nie dla wszystkich dziś jeszcze otwarte, zamykają się przed nim. Nie traci jednak odwagi, pracuje, pisze, lecz czuje, że to nie to, że z pod jego pióra wyjśćby mogły rzeczy stokroć doskonalsze, myśli stokroć głębsze, gdyby nauka dała mu środki, zrobiła słowo powolnem myśli, rozszerzyła duchowe widnokręgi i uświadomiła uczucia! Tymczasem los, nielitościwy szyderca, obdarzywszy dobrodziejstwy wykształcenia inne osobistości, o bardziej poziomym nastroju, nie mające żadnych podnioślejszych aspiracyi, o nim zapomniał, zostawił go na pastwę wewnętrznym burzom i rozterkom. Zaprawdę, że można zostać pessymistą.

W tem właśnie położeniu była Dworzakowa-Mraczkowa i takie właśnie uczucia nurtowały i mąciły głąb' jej ducha. O ile sądzić można z wydanego przez nią zbiorku poezyi p. t. „Stokrotki" (Chudobky), talent to był pierwszorzędny, który nie rozwinął się należycie, jedynie dzięki brakowi odpowiedniego wykształcenia. Poetka czuła dobrze sama, że daje czytelnikom nie to, coby dać mogła i z pewną goryczą tłomaczy się, dlaczego wierszyki jej są tylko skromnemi „stokrotkami": „Bo jak stokrotka często na nieprzyjaznej i nieuprawionej roli prosty kwiatuszek swój rozwija, tak też są te stokrotki wykwitem ducha kobiety, która do żadnego zakładu naukowego nie uczęszczała, oprócz szkółki ludowej, żadnego nie miała wodza, prócz własnej myśli badawczej i z zazdrością patrzyła na wszystkie szczęśliwsze siostry swoje, którym dozwolono było rozwinąć swobodnie zdolności ducha i w pełnem bogactwie krasy przed okiem ziomków zabłysnąć" (Przedmowa do „Stokrotek").

Smutne było zaiste położenie! Duch rwał się jak orzeł do góry, do słońca, a mały zasób nauki i niemożebność zwiększenia go, łańcuchem żelaznym trzymały poetkę przy ziemi.

Straszliwe burze, walki i zwątpienia wstrząsały jej sercem; a nie miała światła, któremby je rozjaśnić mogła. Cóż dziwnego, że jęk bolesny wyrywał się z piersi uciśnionych, że rozpacznie wołała do Boga:

O, promień jeden — wieczny światła zdroju —
Spuść w duszę ciemną, pełną niepokoju!
O, promień jeden z bóstwa zorzy świętej,
Gdy duch się w zwątpień zapada odmęty,
Gdy prożno wije się w bezsilnym boju —
O, promień jeden — wieczny światła zdroju!

Świat tak obłudny — jam jak chore dziecię;
Los wciąż splątane rzuca na mnie siecie,
Śród sztychu kłamstwa ginie prawda złota —
Jestem jak trzcina, co z wiatrem się miota!

Świat tak zwodniczy, tak mdła moja siła; —
O, promień jeden, abym nie zbłądziła,
O, promień jeden — wieczny światła zdroju —
Uchyl mi prawdy, córy swej, zawoju!

O wielki duchu! — o władco wszechświata!
Ku tobie dusza ma z jękiem ulata —
Prowadź mię naprzód w ciemnościach żywota,

Daj, niech mi błyśnie prawdy zorza złota; —
O, promień jeden — wieczny światła zdroju —
Zeszlij w mą duszę pełną niepokoju!

Błagalna ta prośba, jak widzieliśmy z przytoczonego wyżej urywka przedmowy, dotykalnych przynajmniej skutków nie miała i duch jej tonął wciąż w głębiach niepewności i zwątpienia. Zwątpienie to miało wszakże różne fazy. Raz zdaje się poetce, że siłą woli zwalczyć można wszelkie przeciwności: „Kto w łonie swojem" — woła — „czuje świętą iskrę, by aż do Boga wzbić lot ducha śmiały, niech nie ustaje, choćby jednogłośnie powstał na niego ze wzgardą świat cały!... Niech nie przestaje mrące nawet serce żywić tęsknotą i świętym zapałem, niech nie ustaje, póki wzrok nie zgaśnie, a serce w jęku nie pęknie rozpaczenym!" W innym miejscu znowu owłada nią gorzkie zniechęcenie: „Już pogrzebione moje ideały... Już się wyrzekam wszystkich dawnych marzeń, już niechcę szukać, czego nikt nie znajdzie, już nie chcę szukać kwiatów rajskich w puszczy, już nie chcę szukać bogów w ludzkich synach, ani zapałów świętych w nizkich czynach, jak mię powiedzie życie, tak żyć pragnę, chcę żyć tak, jako inni ludzie żyją, co życia czarę tak spokojnie piją.." Lecz wkrótce poznaje, że pragnienia te są teraz już niepodobieństwem i z żalem wspomina błogie chwile dziecięcych dni, gdy pod okiem matki swej bez troski burz wewnętrznych tak szczęśliwą była. Czasem chciałaby zapłakać serdecznie z głębi swego uciśnionego serca, czuje, że to by jej ulżyło, lecz cóż? źrenica sucha. Czasem o zmysły swe obawiając się, powiada: „Tak rozpalonaś gorączkowo, tak ciężkaś, moja głowo, zda mi się często, że w tobie jakoś nie całkiem zdrowo. Jakby gwóźdź wbił mi ktoś gorący, tak kłuje mię coś w skroniach, gdy nagle krew się w nich zatrzyma burzliwa, rozszalała. Rój myśli mi wiruje, stłumioną huczy wrzawą, lecz wszystkie blade, mgławe, a żadnej nie ma zdrowej. Jak dziecko cienie chwytam je, a żadnej chwycić nie mogę. Bóg wie, czy życie me; czy rozum w ofierze tutaj padnie!"

Poetka nie umie sobie sama objaśnić tych nagłych zmian w swoim nastroju duchowym: „To młode serce — czemu? wie Bóg — czasem się tak rozraduje, jakby w swej głębi raje rajów i niebios kryło niebiosa. To młode serce — czemu? wie Bóg — niekiedy tak się rozżali, jakby w niem setne tkwiły śmierci i piekieł piekła gorzały". — Jedyne ukojenie znajduje duch jej strudzony na łonie przyrody, gdy zbliżający się wieczór spokój rozlewa dokoła, gdy gwiazdy wschodzą na niebios szafirze, a anioł snu śpieszy siejąc w krąg marzenia. Wtedy w sercu jej zapala się iskra święta, czuje się inną istotą, opadają więzy nędz człowieczych, duch się duchem czystym czuje? Z serca wybiega jej gorąca modlitwa „jak słup, co aż niebios sięga", ból, co w sercu jej szaleje w łzach słodkich, cichych się rozpływa i w świętej nocy tej godzinie serce się ze światem zdradnym godzi („Z wieczora"). W innem miejscu otwarcie mówi: „Jam dziecię przyrody, nie zdam się na nie w tem waszem pańskiem, sztucznem życiu; dyszę jej świętem, czystem tchnieniem, bez niej — wartości życie nie ma dla mnie!"

Miłość nie gra w poezyi Dworzakowej-Mraczkowej takiej wyłącznej prawie roli, jak u Studniczkowej i Mühlsteinowej. I w „Stokrotkach" wszakże znajdujemy kilka ustępów dowodzących, że kochała ona silnie, gorąco, namiętnie, lecz że również nie była szczęśliwą w miłości, gdyż po pewnym czasie wymarzony ideał jej „zwalił się z ołtarza, jak posąg strzaskany." Szczęśliwszą jednak była od swych towarzyszek, gdyż miała dziecko, na które przeniosła całą swą niezaspokojoną miłość. Bolało ją tylko, że kiedyś może dziecko jej spotkają takie same przeciwności w życiu, z jakiemi ona walczyć musiała: „Wtedy w rozżaleniu wołać będziesz: Matko! a ludzie się będą śmiać z łez twych i żalu. Ah! ty pączku drogi, gdybyż było można, byś na sercu matki na zawsze zostało!" („Swemu dziecięciu"). Miłość ukochanej córeczki łączy się u niej w jedno pasmo z miłością kraju. Wszyscy ziomkowie jej walczą na polu wolności, oświaty — ona oddawszy się obowiązkom rodzinnym, nie może już czynnie spółdziałać temu ruchowi; „kołysze swoją córeczkę, kolebka ta jest światem": „kolebka jej jest mym światem, nagrodą moją jej uśmiech, o wszystkiem wkoło zapomnę, widząc tę drogą istotkę. Lecz gdy się nowa mogiła wzniesie nad którym z walczących, powiem jej, by bohaterów, gdy będzie matką, rodziła."

Dworzakowa-Mraczkowa ma tę wyższość nad poprzedniemi dwiema poetkami, że nie zamknęła się wyłącznie w sferze czysto subjektywnej, uczuciowej liryki, lecz przeciwnie, śmiało wstąpiła w krainę głębszych refleksyi i w każdym nieledwie ustępie zatrącała jakąś ogólno ludzką ideę. Nie mogąc dla braku miejsca przytaczać więcej wyjątków z tej utalentowanej poetki, ograniczyć się musimy na wyliczeniu tytułów kilku najpiękniejszych wierszy, w których piękne strony jej talentu najlepiej się uwydatniły.

A więc poważna refleksya p. t. „Klasztorne mury", obrazki o głębszej myśli „Don Juan", „Oracz", „Babunia", namiętna, pełna miłości natury i swobody, pieśń „Cyganka", ironiczna allegorya „Życie nasze" i wiele pysznych gnomicznych kawałków, jak „Światła i cienie", „Ludzkie sądy", „Młode serce" i inne. Przy innych okolicznościach, Dworzakowa-Mraczkowa mogłaby zostać wielką poetką; niestety, życie pokazało nam na niej raz jeszcze, jak często wielkie talenta marnieją w zapomnieniu. Sama ona czuła to i wypowiedziała z pewną domieszką gorzkiego szyderstwa w luźnym fragmencie: „Bez napisu".

Szczebiotka.

Gdy jak łabędź bieluchny, urocza szczebiotka,
Piękna jakoby anioł, promienna i słodka,
Figlarnie, magnetyczną nastroiwszy minkę,
Gwarzyła czy minutkę, czy całą godzinkę,
Patrząc w oczy jej, nie wiem, jak to długo trwało,
Lecz zawsze było dla mnie takich chwil za mało.

Świat cały wtedy znikał przed oczami memi,
I już nic nie widziałem na niebie i ziemi,
Tylko śliczne dwie gwiazdki płonące czarownie,
Dwoje oczu powabnych, cudnych niewymownie,
I słyszałem jej słowa szczerości dziecięcej;
Nie słyszałem nic więcej, nie widziałem więcej.

M. H. Truszkowski.

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napierałską.

(Dalszy ciąg.)

Nazajutrz przy pierwszem śniadaniu rozpoczęłam do Sokoła:

— Czy otrzymam dziś konie do Wólki?

Chwilę nie było odpowiedzi. Na powtórne zapytanie usłyszałam:

— A! więc pani trwa stanowczo w zamiarze tej podróży?

— Nie przypominam sobie, czy kiedykolwiek złamałam jakie postanowienie.

— Tak? — zabrzmiało przeciągle.

Owo *tak* zarumieniło mnie, przywodząc wspomnienie okrężnego, kiedy drobnym napozór czynem byłabym usunęła zobowiązanie, w celu zachowania najściślejszej możliwie obojętności. On znów odważył się przypomnieć mi rzecz tak bardzo niemiłą.

— Mama oczekuje z niecierpliwością, radabym najszybciej ujrzeć ją. Naturalnie, nie może mi pan zabronić tego — rzekłam tonem rozdrażnienia.

— Co mogę, lub nie mogę, o tem pani wie zarówno tak dobrze jak i ja. W naszym stosunku możebne jest wszystko. Używaj pani swobody wedle żądania, bez trudu zasięgania mej rady. Owszem, jedź pani.

Z chłodnym ukłonem opuścił jadalnię i poszedł wydać dyspozycyę dotyczącą koni. Przyznaję, że maleńki choćby opór z jego strony więcej pochlebiałby mi, niż ta łagodność granicząca z obojętnością. Nie byłam przyzwyczajona do chłodnego postępowania mężczyzn. Kobiety w ogóle nie lubią bierności, nawet w ludziach, do których same nie czują sympatyi.

— Ostatecznie, czyż dbam o niego, czyż obojętność taka może mnie przykro wzruszyć? — myślałam stojąc na szerokim tarasie okrążającym werendę. Wkrótce zaszedł powóz, wskoczyłam i dzielne konie uniosły mnie za obręb wioski. Zdaleka na polu, biały kapelusz Sokoła uderzył wzrok mój, co przecież nie przeszkodziło mi wcale, odwrócić się bokiem, jakby nie widząc.

Już od kilkunastu dni przebywałam u mamy, odbierając ciągłe wizyty przyjaciółek ciekawych, gadatliwych.

— A czy mąż cię bardzo kocha? czy wiele mówi słodkich słówek? jak też cię pieści? — zapytywały uporczywie.

Rumieńce i bladość stanowiły mą odpowiedź.

— Eh! nie dowiadujcie się. Od czegóż praktyka w przyszłości? Poznacie to, poznacie — szeptałam zmieszana.

Panowie prześladowali mnie także potrosze.

— Sokolski może zwaryować przez ten czas z oddalenia i tęsknoty — mówili jedni.

— Taka krótka separacya podwyższa miłość — głosowali drudzy.

Jakże oni wszyscy dalecy byli od prawdy.

Pobyt w Wólce przywodził mi na pamięć czasy przedślubne i pogadanki na ten temat z mojemi

sąsiadkami, z których każda byłaby rada zostać narzeczoną Sokoła.

— Jaki on niepodobny do innych—mawiały. — Jego zasady, przekonania nie dają się zbijać żadnem dowodzeniem, takie są mocne, niewzruszone, a zacne i piękne. Pozazdrościć ci Anusiu, będziesz najbliższą towarzyszką człowieka, któremu zawsze i we wszystkiem można zaufać.

A jednak ten rozumny mężczyzna, wybrał sobie dziewczynę, którą od pierwszego widzenia traktował jak dorosłe, ale zepsute, rozgrymaszone dziecko i kto wie, czy teraz już nie żałuje swego wyboru. Ani jednego listu nie napisał od czasu mej wizyty w Wólce, nie dawał żadnego znaku życia o sobie. Coby się stało, gdyby zażądał separacyi prawdziwej? Oh! nieszczęśliwa, szepnął jakiś głos we mnie, nieszczęśliwa. Rozpacz matki, szyderskie uśmiechy ludzi, wszystkie niedogodne strony takiego położenia, stanęły w mej wyobraźni w całej grozie. Ta pierwsza myśl, rozbudziła zaraz drugą. Wrócić do Jedlina. Przekonać się naocznie, jak rzeczy stoją.

— Mamusiu — powiedziałam — wrócę już do domu.

— Aha! mój dzieciak roztęsknił się za Jasiem.

Ile razy w rozmowie mama wtrącała imię swego zięcia, ja zagadywałam zręcznie o czemkolwiek innem. Tym razem nie uszło mi to bezkarnie. Lekkie pomieszanie uderzyło wzrok mamy.

— Anusiu najdroższa, nieraz mi się już zdawało, że ty nie kochasz męża tak, jakbyś mogła kochać?

Rozrumienioną nagle twarz tuląc do łona matki, szeptałam:

— Cóż znowu mamusiu... to przywidzenie... nie trzeba myśléć o tem.

— Dziecko jedyne moje, poświęciłabym życie dla twego szczęścia, a niedola twoja musiałaby mnie zabić.

Kurczowy uścisk był moją odpowiedzią. Czyż mogłam wyznać jej prawdę? Czyż mogłam mówić o tem, jak serce córki zostało odepchnięte od drugiego serca, w którem tkwiła baronówna Hortensya. Dziś, dla pięknych oczu Witalisa mściłam się na brunatnym, biednym Sokole. Jakżeby matka nazwała swe dziecię, zatruwające los niewinnego człowieka? Miałażem ją ranić, męczyć własnemi rękami, sprawić najboleśniejszy zawód? Nie, stokroć razy nie. Ona nie powinna cierpiéć za mnie.

Wzruszona do żywego, zerwałam się od jej kolan i poszłam pakować rzeczy. Nigdy jeszcze nie podziałały na mnie tak niezwykle słowa mamy, jak właśnie tym razem, gdy pomyślałam o możebnem zobojętnieniu męża. Więc jestem taką, że nikt nie może mnie kochać, że nikomu nic dobrego wyświadczyć nie umiem? Witalis wolał Hortensyę, Sokolski stał się nieszczęśliwym w pożyciu ze mną, a co się stanie z matką na pierwszą wieść o istotnym stanie rzeczy, bo przecież wiecznie nie podobna będzie taić tego. Co będzie, gdy ostatecznie zostałabym sama jedna, gdy nie będę miała nikogo, ktoby mnie przytulił ciepłem, kochającem ramieniem, rozweselił w chwili smutku, pokierował mną rozumnie, w razie jakiego zwątpienia? Czemże ja jestem, jeśli chcę niszczyć nietylko moją, ale jeszcze i drugich przyszłość. Od stałości uczuć Sokoła zależało wszystko. Kochając nadal, uchroniłby matkę od zgryzoty, mnie zaś od całego szeregu przejść niemiłych, właściwych kobietom rozchodzącym się z mężami. Czy przecież należy mi się obawiać tego? Wszakże brak wzajemności w uczuciach nie zawsze pociąga za sobą obojętność. Miałam najlepszy dowód na sobie i Witalisie. Mówił mi ktoś kiedyś, że często chłód okazywany pozornie nawet, może rozniecić gorące uczucie miłości. Co do mnie, pamiętałam jeszcze piękną, wyniosłą postać, cudne czarne oczy i ten czar, ogarniający zmysły na widok Witalisa. Stanowczo, on zawsze będzie ciążył na szali miłosnego wspomnienia. Mówią, że czas zaciera wszystko, ale ja nie dowierzam temu. We mnie nikt nie rozbudzi nowej miłości, nie zatrze obrazu tamtego. Śpieszę się do Jedlina, to prawda, lecz śpieszę się tylko z pewnej obawy, nie zaś pociągu serdecznego. Mężczyzna przestający kochać, nie cieszy kobiety. Oto przyczyna z jakiej nie byłabym zadowoloną.

Niepokój jakiś ogarnął mnie przy wjeździe do Jedlina. Pola, łąki były już puste. Polne róże poumierały dawno, bławatki znikły wraz ze złotemi kłosami. Ogród nasz przedstawiał się zdaleka posępnie, tajemniczo. Niebotyczne świerki groźnie potrząsały zielonemi głowami, w długich alejach ciemno i ponuro... Konie stanęły przed wielkim tarasem, ja z dziwną lękliwością, nieśmiało prawie zmierzałam ku domowi. Ani mąż, ani służba, ani pies nawet nie wybiegł na moje spotkanie. Trwożnie przebiegłam steczki, zarośnięte gęsto po obu stronach astrami. Kilkanaście z nich strącone wiatrem słały się pod moje stopy, szeleszcząc cicho. Nieoświetlone okna dworu przedstawiały się smutnie. Jeden tylko gabinet Sokoła rzucał po za szyby falującą strugę światła. Powodowana ciekawością zbliżyłam się prosto do tego okna.

Mąż mój siedział przy biurku, pochylony nad księgą regestrową. Na białem czole wspartem na lewej dłoni malowało się najwyższe zajęcie cyframi, podczas gdy ręka prawa kreśliła z niezmierną szybkością na olbrzymich stronicach papieru kratkowego. Żadna zmarszczka, ani wyraz niezadowolenia nie ściągały rysów twarzy osamotnionego męża. O! nie tak wygląda mężczyzna tęskniący za ukochaną kobietą. Stanę więc przed nim w chwili najmniej spodziewanej, ujrzę pierwsze najważniejsze wrażenie.

— O! laboga — wykrzyknęła pokojówka, przy spotkaniu ze mną. — Pani wróciła i nikt o tem nie wiedział.

— Cicho, cicho, chcę panu niespodziankę sprawić.

I uwolniona z podróżnego ubrania, zastukałam lekko do zamkniętych drzwi gabinetu.

— Proszę — ozwał się głos z wnętrza.

Stanęłśmy naprzeciw siebie.

— Ah! to pani! Sądziłem, że rządzca przychodzi po dyspozycye. Jakiemuż wypadkowi mam przypisać wizytę pani u mnie?

— Wracam z Wólki — rzekłam wyciągając rękę. — Mama zasyła panu pozdrowienie.

— Dziękuję bardzo. Mama zawsze dobra.

I Sokoł dotknął lekko mej ręki.

— Zapewne pani zmęczona, potrzebuje wypoczynku, posiłku. Przejdźmy do dalszych pokoi.

Słowa powyższe stanowiły najgrzeczniejsze wyproszenie za drzwi. Jak zmrożona poszłam do jadalnej sali.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Zakład ślepych w Paryżu.

Jedna z najbardziej interesujących, a dodajmy i najpożyteczniejszych wizyt, jaką można zrobić przy zwiedzaniu Paryża, jestto „Zakład młodych ślepych" przy bulwarze Montparnasse. Mały dziedziniec wchodowy zdobi posąg Walentego Hauy, wynalazcy sposobu nauczania niewidomych za pomocą dotykania, o którem takie egzystuje podanie. Pierwszy ślepy, którego Hauy nauczył czytać, zarabiał więcej zjałmużny u drzwi kościoła, niż ucząc się, więc Hauy płacił mu stosowną do codziennego zarobku jego sumę, czyli profesor płacił uczniowi.

Kiedy wejdziesz do zakładu, dźwięczy on jak muzyczne pudełko, bo w dwóch wydziałach dla chłopców i dla dziewcząt wybiła godzina muzyki. W całych rzędach cel oszklonych, wychodzących na długi korytarz, uczniowie i uczenice biorą lekcye na fortepianie. Tu się dają słyszéć nocturny Szopena, o dwie cele dalej etiudy Ravina. Spotyka się potem klasę nastrajania, gdzie uczniowie uzbrojeni kluczem, rozbierają i składają fortepiany. Dalej słychać poważny głos organu, gdzie kształcą artystów, którzy grać będą na organach w kościołach.

A że nauka jest doskonałą, za dowód niech służy to, że w roku przeszłym, podczas konkursu w Konserwatoryum muzycznem, uczeń zakładu ślepych otrzymał pierwszą nagrodę.

Wkrótce potem zaczną się lekcye historyi, geografii, matematyki, beletrystyki. Wiadomo, że ciemni piszą za pomocą przekłówania szydłem papieru twardego i formując w ten sposób wszystkie litery za pomocą (⁝⁝) sześciu punktów rozmaicie ustawionych. Tomy wydrukowane tym sposobem są ogromne, a ponieważ punkty nie są duże, więc wyglądają zupełnie pusto. Mapy geograficzne wykłute pozwalają im poznawać układ całego świata.

W środku zakładu znajduje się sala koncertowa, w której młodzi ślepi występują częstokroć z muzykalnym popisem. Tam orkiestra, dyrygowana przez ślepego profesora, p. Letel, który jest organistą przy kościele St. Etienne du Mont, wykonywa z wielką dokładnością wielkie dzieła klasyczne. Czasami oklaskują tam i kompozycye profesorów zakładu, jak np. melodye p. Paula.

Liczba młodych niewidomych w zakładzie dochodzi do dwustu pięćdziesięciu. Wszystkie te dzieci, uratowane od żebractwa, zarabiają uczciwie i honorowo na życie po opuszczeniu zakładu, bądź jako muzycy, bądź jako utalentowani wyrobnicy.

Kiedy zwiedzałem z jednym znajomym zakład niewidomych, słońce świeciło całym swoim jesiennym blaskiem, który się wesoło odbijał na staranie wyfroterowanej podłodze. Biedni ślepi, pozbawieni są i tej przyjemności, myślałem sobie w chwili, kiedy towarzyszący nam profesor wykrzyknął:

— Jaki piękny dzień i jakie słońce cudowne.

— Jednakże pan ich nie widzisz — wtrąciłem nieśmiało.

— Nie — odrzekł — ale czuję!

Towarzysz mój, patrząc przez okno na resztę opadających liści z drzew kasztanowych, powiada do mnie:

— Że też nigdy nie mogę się przyzwyczaić do smutnego widoku opadających zżółkłych, zestarzałych liści.

— Nie widzę i tego — rzekł ciemny nasz cicerone — ale czuję i to, a zwłaszcza słyszę wybornie...

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Szczegóły postępowania pani Olifaunt wiedział Ludwik od Klemensa, który codziennie dowiadywał się o zdrowie Heleny i w żartobliwy sposób malował przyjacielowi rozdrażnienie pięknej pani i przykre położenie biednego Lereboulleya, na którym Dianna wywierała swą zemstę zmuszając go do spełniania najszaleńszych jej pragnień.

Obydwaj doskonale bawili się jej kosztem gdyż Thauziat odzyskał teraz swobodę i dobry humor. Czoło jego wtedy tylko okrywało się chmurą smutku i powagi, gdy Ludwik mówił o odwiedzeniu Dianny. W rozłączeniu Ludwika z Heleną Klemens widział spełnienie tajemnych swych marzeń, lecz obawa cierpień na jakie to rozłączenie naraziłoby młodą kobietę, kazała mu przeklinać niestałość męża i poświęcić własną namiętność dla szczęścia tej, którą uwielbiał. Szlachetna jego dusza przepełniała się wzniosłemi uczuciami i gotów był zawołać do Ludwika:

— Szaleńcze, strzeż się, zewsząd grozi ci niebezpieczeństwo, nie możesz kroku postąpić na tej drodze, bo podepcesz nogami szczęście drugich i swoje własne!

Nareszcie pewnego dnia nie mogąc już dłużej panować nad sobą, rzekł przyjacielowi:

— Jesteś bardzo nieostrożny, że nie myślisz o obronie własnego dobra zamiast uganiać się za wydarciem cudzego. Gdyby twoja żona przestała cię kochać, kto wie czy nie znalazłaby się bezbronną w obec szczerej miłości...

— Jakiej miłości? — przerwał mu Ludwik.

— Choćby i mojej naprzykład...

— Co też ty gadasz — odparł Ludwik śmiejąc się głośno. Płomień jakim gorzałeś wygasł już zupełnie w przeciągu dwóch lat a zresztą nie pochlebiaj sobie, że jesteś tak niebezpiecznym... Jeśli ci się podoba, pozwalam ci umizgać się do mojej żony to ją trochę rozerwie... Nie lękam się o nią ufam nieograniczenie w jej honor i cnotę.

Thauziat milczał lecz głęboka zmarszczka ukazała się na jego wyniosłem czole a pogardliwy uśmiech przemknął po purpurowych ustach. Obojętność jaką okazywał Ludwik, raczej zmartwiła niż ucieszyła Klemensa; nie myślał w tej chwili o sobie tylko o tej, którą własny mąż obrażał w tak upakarzający sposób.

Kiedy Helena mogła już podnieść się z łóżka i choć z trudnością przejść przez pokój, Ludwik tego samego dnia postanowił odwiedzić panią Olifaunt. Była może godzina czwarta po południu i państwo Olifaunt tylko co wrócili z miasta. Ludwik zastał Diannę nawpół leżącą na kanapce w japońskim salonie i przerzucającą z niechcenia jakiś modny romans. W drugim pokoju do którego drzwi stały otworem, słychać było kroki sir James wysuwającego i zamykającego szuflady. Spostrzegłszy Ludwika, piękna Angielka wydała stłumiony okrzyk radości, lecz w tejże chwili położyła palec na ustach jakby podlegając wpływowi niezwykłego przymusu. Ludwik stanął zdumiony nic a nic nie rozumiejąc co to wszystko znaczy a w tejże chwili ukazał się we drzwiach sir James trzymając w ręku prześliczną miniaturę.

— Ah! to pan, panie Hérault — rzekł z chłodnym uśmiechem. — Jakże się cieszę, że pana widzę u siebie. Bądź pan łaskaw siadać. Kochana Dianno oto jest miniatura o której ci wspominałem, wyobraża ona portret panny de Fontanges robiony przez Petitot... Emalia posiada wysoką wartość... Przypatrz się czy to uczesanie przypada ci do gustu.

— Wybieram się na bal kostyumowy, objaśniła Dianna przyglądając się portretowi. Zdaje mi się, że te loki nie oszpecą mnie bynajmniej.

— Dawno już nie mieliśmy przyjemności widzenia pana — podjął znowu sir James.—Jeśli się nie mylę, ostatni raz spotkaliśmy się na koncercie u naszego kochanego Lereboulleya... Przez ten czas przeszedłeś pan niemało kłopotów i zmartwienia... Czy zachwycająca żona pańska odzyskała już zdrowie zupełnie?

— Zupełnie, dziękuję panu — odpowiedział Ludwik zdziwiony nagłą troskliwością, jaką Anglik okazywał Helenie.

— Cieszy mnie to niewypowiedzianie, tem bardziej, że za dwa tygodnie wydajemy wielki bal u siebie, chcemy odpłacić się naszym znajomym za grzeczności jakie od nich doznajemy... Spodziewam się, że pan będziesz na nas łaskaw, również jak i pani Hérault?

Słowa te zabrzmiały w uszach Ludwika jak wypowiedzenie wojny, domyślił się z nich spisku zręcznie usnutego przez żonę i męża a chcąc odrazu dowiedzieć się prawdy, rzekł śmiało:

— Co do mnie, będę panu służył z największą przyjemnością ale nie mogę obiecywać bytności mojej żony, której doktor zaleca spokój i wielką ostrożność, wątpię zatem czy będzie mogła korzystać z pańskiego uprzejmego zaproszenia.

Na twarzy Anglika odmalował się chłód i niezadowolenie, zupełnie jak w owych chwilach, gdy sprzeczał się z Lereboulleyem o wartość jakiegoś obrazu lub autentyczność kosztownego cacka. Zbliżył się do kominka i opierając się niedbale o gzems, rzekł z akcentem wyniosłej pewności siebie:

— Bardzo żałuję, że nie może stać się zadość życzeniom naszym, tak ze względu na panią Olifaunt jak i na mnie samego. Bardzo żałuję—powtórzył raz jeszcze—doszły nas bowiem posłuchy, że niektóre osoby za złe nam biorą, że w naszym domu sami bywają mężczyzni. Prawda, że są to wszystko ludzie ze sta nowiskiem i zasługujący na szacunek, ale zawsze sami tylko mężczyzni bez żon, córek lub sióstr. Złe języki usnuły na ten temat plotkę i oczerniają nas haniebnie. Dlatego też pani Olifaunt i ja postanowiliśmy na przyszłość nie przyjmować naszych przyjaciół żonatych, jeśliby ci ostatni chcieli bywać u nas w charakterze kawalerów... Urok ich miłego towarzystwa zaślepił nas nieco, lecz przekonaliśmy się, że opinią świata nie należy nigdy pogardzać... Dlatego też przykro mi bardzo, że stan zdrowia pani Hérault nie pozwala jej na wyjście z domu, gdyż z tego powodu musimy się wyrzec choć na krótki czas przyjmowania pana u siebie.

Ludwik pobladł nieco i wstając z krzesła zwrócił się do Dianny, która nie brała udziału w rozmowie wsparta niedbale o miękką poręcz kanapki.

— Jeśli się nie mylę, łaskawa pani — rzekł — to pan Olifaunt w grzeczny sposób wypowiada mi swój dom?

Z ust Dianny wydobył się jakiś stłumiony, niezrozumiały szept, który niewiadomo czy był jękiem, czy powstrzymywanym wybuchem śmiechu. Ludwik nie doczekał się innej odpowiedzi.

— Ja miałbym panu bronić bywać w moim domu? — podchwycił sir James przecząco wstrząsając głową. — Jestem zbyt grzeczny, abym miał postępować w ten sposób z gentlemanem, ale pan jako człowiek światowy powinieneś ocenić przyczynę, która mną kieruje... Zresztą zostawiam pana sam na sam z panią Olifaunt, ona lepiej to jeszcze panu wytłomaczy.

Kończąc te słowa wyciągnął do Ludwika rękę, którą tenże ze wstrętem uścisnął i złożywszy lekki pocałunek na czole żony, wyszedł z salonu. Zaledwie drzwi zamknęły się za nim, Dianna zerwała się na równe nogi i ukazując kochankowi twarz zalaną łzami, zawołała:

— Przyszedłeś nareszcie, nie zdołam ci nawet wyrazić jakie życie wiodę od tygodnia... obracam się w prawdziwem piekle, sama, opuszczona przez ciebie... Nie wiem jakie plotki doszły do uszu sir James, ale jest dziwnie rozdrażniony... Utrzymuje, że jego honor jest zagrożony i że albo musiemy zmienić tryb życia w Paryżu, albo powracać do Anglii...

— Jakto? sir James wywiózłby cię z Paryża?— zawołał Ludwik. — Musiałabyś pani zgodzić się na to, gdyż on nic nie robi wbrew twej woli...

— W istocie, prawie zawsze obchodzi się ze mną jak z rozpieszczonem dzieckiem, ale gdy chodzi o rzecz większej wagi... A to co się stało nie jest bynajmniej bagatelką... Rozeszła się pogłoska, że pan przesiadujesz u mnie... ktoś rozpowiedział o fatalnej scenie, jaka miała miejsce u Lereboulleya. Prawdopodobnie nikt inny tylko ta szkaradna Emilia, bo ani twoja żona, ani Thauziat, ani Lereboulley, nie mówiliby o tem z pewnością. Wiesz dobrze jak te wszystkie brzydkie kobiety zazdroszczą mi wdzięków i powodzenia!... W tym tygodniu spotkało mnie już tysiące przykrości... skoro wchodzę gdzie do salonu, serce bije mi z trwogi jak młotem... Wszystko to cierpię przez ciebie... nie skarżę się jednak... Ale ty także uczyń cośkolwiek, ażeby mi oszczędzić nieprzyjemności...

Mówiąc to zmusiła Ludwika, aby usiadł koło niej na nizkiej sofce i przytuliwszy się do niego, otoczyła białem ramieniem jego szyję. Luźna suknia z bladoróżowego atłasu, obciśnięta w pasie złotym sznurkiem, uwydatniała posągowe kształty młodej kobiety, z szerokich rękawów wychylały się pulchne ręce, błękitne oczy świeciły jak gwiazdy z pod zwojów płowych włosów spadających na czoło, a mała główka wspierała się na piersiach Ludwika. Purpurowe, uśmiechnięte usta zdawały się wzywać pocałunku, którego unikały jednak-

że, skoro tylko usta mężczyzny miały już musnąć jej lica.

Ludwik czuł gorące jej tchnienie i upajał się wonią jej warkoczy. Kobieta, widocznie w chęci podniecenia jego uczucia, stawała się czułą i gniewną, wesołą lub smutną naprzemian a czyniła to z taką zręcznością i pośpiechem, jakby jednoczyła w sobie z dziesięć odrębnych charakterów kobiecych.

Ludwik rozpłomieniony jej spojrzeniami, odurzony uśmiechami, uchwycił ją w objęcia i przyciągnął ku sobie. Namiętność zaślepiła go do tego stopnia, że zapomniał o wszystkiem co nie było Dianną. Wspomnienie dawnych rozkoszy zmieszało się z marzeniem o szczęściu w przyszłości. Pragnąłby życie całe spędzić obok młodej kobiety i nie mógł sobie darować, że tydzień cały mógł żyć zdala od niej.

— Jak ja mogłem się na to zgodzić, myślał, ja, co chętnie poświęciłbym wszystko aby tylko pozyskać tę kobietę.

Dianna miękkim, łagodnym głosem zaczęła go przekonywać, że przyprowadzenie pani Hérault na wieczór do nich było bardzo małą ofiarą. Dość aby żona Ludwika przeszła się po salonach, aby ją ludzie widzieli, Dianna niczego więcej nie żądała. Niechby później nieprzyjaciele mówili co chcieli, ona odpowiedziałaby im śmiało: „Jeśli pani Hérault bywa u mnie, to najlepszy dowód, że mąż jej nie jest moim kochankiem." Prawda, że Helena musi trochę upokorzyć się w swej dumie, ale obraziła tak biedną kobietę, że powinna wynagrodzić jej choć w części to złe jakie jej wyrządziła.

Podstępne te rozumowania popierała uściskami i pocałunkami, zacierając tym sposobem ich gorycz i dopóty przymilała się i przekonywała dopóki Ludwik nie przysiągł jej, że nakłoni żonę, aby mu towarzyszyła na bal. W głębi duszy czuł, że popełnia podłość, lecz Dianna nie pozwoliła mu rozmyślać długo nad następstwem, jakie pociągnie za sobą jego postanowienie.

Rozpromieniona, że zdołała dopiąć zamierzonego celu, nie szczędziła Ludwikowi objawów namiętnego uczucia. Ze łzami w oczach dziękowała mu za jego dobroć, a radość jej nie była wcale udaną, cieszyła się bowiem, że tym sposobem zemści się nad Heleną. Kilkakrotnie powtórzyła Ludwikowi: „Kocham cię najdroższy", z akcentem szczerej prawdy wypływającej z zadowolenia nienawiści.

Ludwik zaślepiony namiętnością, zapomniał po chwili o niegodziwości danego słowa i ubliżeniu na jakie narazi żonę, stając się wspólnikiem przewrotnej kobiety: myśl jego zajęta była wyłącznie chęcią zadość uczynienia swemu kaprysowi. Nie obchodziło go to wcale za jaką pozyska to cenę, byleby tylko wszystko stało się tak jak on pragnął.

Dnia tego, pierwszy raz od czasu choroby Heleny, nie wrócił do domu na obiad a nazajutrz był znowu tak chłodno uprzejmy jak zwykle. Jednakże Helena, doskonale znająca charakter męża, dostrzegła w jego twarzy szczególny jakiś wyraz. Był roztargniony i niespokojny, chociaż starannie chciał to ukrywać przed badawczym wzrokiem młodej kobiety. Helena naprożno łamała sobie głowę, chcąc zgadnąć co nowego dzieje się w zamkniętem teraz przed nią sercu męża.

Wypytywała Emilię, lecz ta nie umiała ją objaśnić, aż dopiero przypadek sam nastręczył jej sposobność dowiedzenia się o powodach niepokoju Ludwika.

Jednego ranka odbierając listy, znalazła pod elegancką kopertą zaproszenie mniej więcej następującej treści:

„Sir James Olifaunt baronet i żona jego pani Olifaunt proszą pana i panią Hérault, aby zaszczycili ich swą obecnością na balu w dniu tym i tym..."

Młoda kobieta nie czytała dalej. Wzruszenie jej było tak gwałtowne, że gdyby była nawet w miejsce zaproszenia przeczytała zupełnie co innego a mianowicie, że „Helena Hérault jest niewolnicą pani Olifaunt i może być przez nią bezkarnie prześladowana, wyszydzana i znieważana," boleść jej nie byłaby większą. Pogrążona w głębokiej zadumie nie słyszała kroków zbliżającego się męża, który stanął tuż przy jej fotelu a ona biedna pomimo to nie otrząsnęła się ze swego odrętwienia.

— Co ci jest? — spytał ją Ludwik.

Młoda kobieta podniosła głowę, spojrzała smutnie na męża i nie mówiąc słowa podała mu ćwiartkę brystolu. Ludwik zadrżał, zaciął usta i zmarszczył brwi; gwałtowny niepokój ścisnął jego sercem, nie cofnął się jednak przed wstydem nieoględnie wyrzeczonego słowa i przebiegłszy szybko wzrokiem zaproszenie, odparł swobodnie:

— Jest to zaproszenie jakie nam przysyłają państwo Olifaunt... Zapomniałem ci o niem mówić.

— Czy wiedziałeś, że mamy je otrzymać?

— Wiedziałem — odparł śmiało.

Słaba ta istota stawała się nieubłaganą, skoro raz powzięła jakie postanowienie. Helena zadrżała usłyszawszy te słowa, w jednej chwili pojęła całą rozciągłość swego nieszczęścia. Żal i boleść napełniły łzami jej oczy, pomimo to ciągnęła dalej swoje badanie:

— Nie przyrzekałeś chyba że przyjdziemy?

Słowa te wyszeptała głosem błagającym, jakby żebrała łaski i miłosierdzia. Łzy błyszczące w oczach i drżenie głosu czyniły ją tak piękną, że mogła była wzruszyć nawet kata, lecz miała do czynienia tylko z mężem.

— Radbym był nie iść tam wcale a szczególniej tobie oszczędzić przykrości towarzyszenia mi — rzekł — lecz musiałem ustąpić dla bardzo ważnych niezwykłych względów i przyrzekłem, że będziemy.

— Ale czy ty wiesz co mówią o tej kobiecie? — odważyła się na łagodną uwagę żona.

— Mówią tyle rzeczy a jedna głupsza i złośliwsza od drugiej, że nie należy żadnej przywiązywać do nich wagi. Pani Olifaunt przyjmowaną jest wszędzie...

— Ale nikt u niej nie bywa.

— Bo dotychczas nie było do tego sposobności. Pierwszy to raz zaprasza kogoś więcej oprócz serdecznych swoich przyjaciół...

— Do liczby których i ty się zaliczasz.

— Tak jest i bardzo cieszę się z tego, gdyż pani Olifaunt jest zachwycającą kobietą, bardzo uprzejmą, bardzo przywiązaną do swych przyjaciół...

— I do swoich kochanków!

— Heleno!

W miarę jak słowa stawały się przykrzejsze i dźwięk głosu małżonków ożywił się także.

Helena, oburzona gwałtownością z jaką Ludwik usiłował ją przekonać, podniosła się z krzesła drżąca z gniewu. Długo tłumiona rozpacz wybuchnęła teraz z wściekłością i Helena nie szczędziła przykrych słów, napawając się gorzką radością, że nie zostaje dłużną w tej okrutnej walce. Postąpiła kilka kroków naprzód i rzekła ze stanowczością, która zdziwiła męża:

— Słuchaj Ludwiku, skoro już dotknęliśmy tak ważnej w naszem życiu kwestyi, nie powinniśmy lekkomyślnie jej zaniechać lecz raczej śmiało i otwarcie wypowiedzieć sobie wszystko. Musisz chyba oddać mi tę sprawiedliwość, że dotychczas nie słyszałeś z ust moich skargi chociaż miałam do niej powody. Oszukiwałeś mnie, nie wyrzekłam ani słowa, gromadziłeś kłamstwa na kłamstwa, milczałam również, naraziłeś mnie na takie cierpienia moralne, że aż z tego powodu zapadłam ciężko na zdrowiu i mogłam zatrutym pokarmem zgubić nasze dziecię, jeszcze jednak milczałam. Lecz dziś, gdy dlatego chcesz mnie zmusić do pójścia na ten bal nieszczęsny, abym przyczyniła się do powodzenia twej kochanki i spotęgowania jej tryumfu, abym jak niewolnica, wspólniczka lub przyjaciółka ukazała się u jej boku, tego już nadto, to przechodzi moje siły i mówię ci z oburzeniem: zniosłam zmartwienie ale nie zniosę upokorzenia i wzgardy. Łez się nie wstydzę, ale błota nie dotknę się nigdy!

— Któż tu mówi o tryumfie i w czem właściwie dopatrujesz tu wzgardę? — odparł drżącym głosem Ludwik, rozdrażniony stanowczym oporem żony, z którym nie czuł się na siłach walczyć.—Chodzi tylko o najzwyczajniejszą wizytę, o ukazanie się choćby przez kwadrans w salonie, gdzie zbierze się najlepsze towarzystwo paryzkie.

— Nie chcę robić z siebie widowiska i stać się przedmiotem ubliżającej ciekawości ludzkiej. Mamże dobrowolnie narazić się na słuchanie pochwał lub nagany, za to że spokojnie znoszę umyślnie dla mnie przygotowane upokorzenie? Nie, tego nie wymagaj ode mnie, gdyż błagałbyś napróżno.

Ludwik milczał przez chwilę. Zdawało się, że zbiera siły do nowej walki.

— Upokorzenie z twojej wyszło strony, pamiętasz, owego wieczora u Lereboulleya. Przedmiotem ciekawości była wtedy pani Olifaunt, którą znieważyłaś w obec wspólnych naszych przyjaciół. Obecność twoja u niej złagodzi błąd popełniony względem niej, bo przyznaj, że niczem nie zasłużyła na niego. Oskarżasz ją ale jakie masz na to dowody? Dotychczas nie uważałem za właściwe bronić się, ale muszę w końcu to uczynić, ponieważ jedynie twoja zazdrość jest przeszkodą do wynagrodzenia wyrządzonej krzywdy.

— Tego wynagrodzenia żądają od ciebie koniecznie, nieprawdaż? W zamian za to będziesz kochany i uwielbiany; z zimnem okrucieństwem żądasz ode mnie tej ofiary i sądzisz, że jestem tak słabą, iż przychylę się do twej prośby... Ale radzę ci nie nadużywać więcej mojej pobłażliwości. Wiem wszystko co wiedzieć powinnam, nie mam już podejrzeń tylko pewność. Wiedziałam kiedy szedłeś na umówioną schadzkę, miałam w ręku list w którym ci ją naznaczono. Pomimo boleści jaką mi sprawiła ta wiadomość, milczałam nie przez bojaźń ale przez miłość dla ciebie. Spodziewałam się, że widząc ile cierpię zastanowisz się nad sobą i powrócisz do tej co cię szczerze kocha, która nigdy nie kochała i nie będzie kochać nikogo prócz ciebie. Ale zamiast cię rozczulić, zachęciłam cię jeszcze do złego. Widząc, że ci się tak łatwo udaje, rozmiłowałeś się w występku a teraz straciłeś już do tego stopnia poczucie delikatności, że wymagasz abym ja moją uczciwością osłaniała brak cnoty tej, która mi ciebie wydarła. Mamże być opiekunką mej rywalki?... Sądzę, że czoło twoje okryłoby się rumieńcem wstydu gdybyś nas ujrzał razem obok siebie, pomyśl czy ja mogę wyciągnąć

do niej dłoń przyjazną? Jakby to wyglądało gdybym ja, twoja żona, nosząca twoje nazwisko, matka twego syna, znalazła się przy boku tak nizko upadłej kobiety?... Ludwiku mój, zastanów się, rozważ dobrze wszystko i nie dręcz mnie dłużej tem bolesnem przekonaniem, że trwasz w oporze pomimo mego błagania... Czy wcale nie czujesz już względem mnie poważania ani szacunku?... Jeśli tak jest, powiedz mi lepiej otwarcie jakiemże to strasznem związałeś się słowem, że nie możesz uznać słuszności moich dowodzeń i nie wzruszysz się memi prośbami? Czy naprawdę zobowiązałeś się, że ja pojadę?

Ludwik blady jak widmo, z widocznym wyrazem przerażenia w twarzy, nie mógł zdobyć się na odpowiedź. Nie śmiał nawet spojrzyć w oczy Helenie a choć nie myślał ustąpić, stał nieruchomy, ze wzrokiem utkwionym uporczywie w jakiś kwiat na dywanie.

Serce Heleny biło tak przyśpieszonem tętnem, że tchu niemal schwytać nie mogła a usta jej drżały nerwowo, pomimo to była panią swej woli i postanowiła do dna wyczerpać wszystkie argumenta. Ujęła więc dłoń męża i zmusiła go, aby jej spojrzał prosto w oczy.

— Ludwiku — zaczęła z wielką łagodnością — wszak prawda, że idzie ci o ocalenie opinii tej kobiety, o przekonanie świata, że nie jesteś jej kochankiem? Zastawiono na ciebie sidła i wpadłeś w nie, nie mogłeś odmówić i na honor przysiągłeś, że ja przyjdę?

Ludwika tak dławiło w gardle, że nie mógł odrzec ani słowa, skinął więc tylko potwierdzająco głową.

— A więc dobrze — odparła z prostotą Helena — słowo dane rzecz święta i nawet takim ludziom należy je dotrzymać, pójdę zatem na bal.

O! jakże maluczkim uczuł się w tej chwili Ludwik wobec szlachetnego poświęcenia żony. W postawie jej i wyrazie twarzy nie znać było egzaltacyi ani gwałtowności, czyn jej nie był obliczony na wywołanie teatralnego efektu, poświęcała swą godność kobiecą ze spokojnem zaparciem macierzyńskiej dumy.

Ludwik chciał przemówić lecz słowa uwięzły mu w gardle, wyciągnął ręce do żony, jakby błagając ją o przebaczenie i osunąwszy się na fotel, gwałtownem wybuchnął łkaniem. Helena spoglądała na łzy męża z litością i smutkiem i znowu przyszły je na myśl słowa Emilii:

— To dziecko, prawdziwe dziecko!

W milczeniu przysunęła się do Ludwika i zaczęła obcierać łzy toczące się zwolna po jego licach. Ludwik głęboko wzruszony pochwycił jej rękę i przycisnął ją do ust z czułością pełną szacunku.

— O! jestem podły i nikczemny — zaczął wreszcie skarżyć się boleśnie — ty zaś najbardziej przywiązaną i najmężniejszą z kobiet. Nie wiem co za skłonności drzemią w głębi jej duszy, że występek pociąga mnie tak ku sobie i że nie mogę oprzéć się jego pokusom? Pomimo to ja cię kocham całą siłą mojego biednego serca, przysięgam ci, że mówię szczerą prawdę i ty sama wiesz, że nie kłamię... Pogardzam tą kobietą, chwilami nawet nienawidzę jej a jednak nie mogę się bez niej obejść. Napróżno wyrzucam sobie niecność mego postępowania i chciałbym na kolanach błagać o twe przebaczenie, lecz czuję również, że gdybyś żądała abym ci przysiągł, iż więcej nie popadnę w to szaleństwo, nie dotrzymam świętej obietnicy, złamię dane słowo, bo nie zdołam się oprzéć urokowi tej kobiety!... Ty jesteś silną, Heleno, błagam cię, ratuj mnie przed samym sobą, obudź we mnie odwagę i dumę... Dlaczego opuściłaś mnie, dlaczego od roku pozostawiłaś mnie na pastwę moim namiętnościom?... Nie byłbym z pewnością popełnił tylu błędów, gdybyś ty jak anioł stróż stała zawsze przy moim boku i kierowała mną i broniła mnie od złego... Jestem biedny, nieszczęśliwy człowiek, pozbawiony energii i poczucia honoru; znieważyłem cię a ty, istoto doskonała i szlachetna, ledwo że zdobyłabyś się na wyrzut... Ah! jakiż ze mnie nędznik, niegodzien nawet twej litości!... Odejdź, porzuć mnie, zostań przy babci, aby miała kochającą istotę, któraby jej zamknęła powieki, lecz nie narażaj się dłużej na męczarnie jakie cierpisz z mego powodu. Ja odjadę daleko i na zawsze zniknę ci z oczu.

Ona spojrzała nań z wyrzutem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z DZIEDZINY NAUKI
I NOWYCH WYNALAZKÓW.

Bakterye i Mikroby.

Niejednemu się zdaje, że woda zmrożona na lód nie zawiera w sobie żadnych bakteryi ani mikrobów, które to żyjątka wyginąć muszą przy tak obniżonej temperaturze, tymczasem dzieje się przeciwnie i z lodem połykamy mnóstwo mikroskopijnych żyjątek, szczęściem nieszkodliwych, jeśli tylko lód z czystej pochodzi wody.

Inaczej ma się rzecz gdy lód pochodzi ze stawów lub rzek do których spływają kanały miejskie i ścieki fabryczne, gdzie poją bydło lub piorą bieliznę, wtedy w lodzie znajdują się bakterye mogące sprowadzić różne choroby i epidemie.

Dyrektor laboratoryum medycznego w New-Yorku, Michał Pruddon, badając części składowe różnych wód, doszedł do przekonania że najmniej bakteryi zawiera woda w strumieniach, więcej już rzeczna a najwięcej czerpana ze stawów i sadzawek i że w tej ostatniej znajdują się zarodki wielu niebezpiecznych chorób jakoto: tyfusu, przeróżnych gorączek i t. p.

To też w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej istnieje prawo, zabraniające raz na zawsze sprzedaży lodu z miejsc mogących wzbudzać odrazę. Za przekroczenie tego nakazu winowajca płaci karę dochodzącą nieraz do 5,000 dolarów.

Co jest jeszcze godnem uwagi, że właśnie bakterye zaraźliwe są wytrwalsze na zimno od nieszkodliwych i nietylko, że nie giną, ale nawet rozmnażają się z przerażającą szybkością na lodzie.

W Paryżu lód sprowadzają aż z Norwegii, Alp lub Wogezów i bardzo słusznie gdyż woda w Sekwanie jest poprostu wstrętną. Aby mieć choć jakie takie wyobrażenie o jej składowych częściach, dość przeczytać sprawozdanie statystyczne o liczbie przeróżnych zwierząt ginących w nurtach Sekwany niezmiernie leniwo płynących.

W roku zeszłym wyciągnięto z Sekwany przeszło dwa tysiące psów i takąż liczbę szczurów, do tysiąca kotów, przeszło pięćset kur i dwustu królików, parę krów, kóz, owiec i prosiąt, kilkadziesiąt indyków, gęsi, kaczek, małp, kuropatw, wiewiórek a nawet kilka źrebiąt, to będziemy mieli zaledwie niedokładne wyobrażenie o pierwiastkach rozkładających się w rzece, z której woda żadną miarą zdrową być nie może.

Przeczytawszy to każdy, z trwogą pomyśli, że i w naszej Wiśle woda zdrowszą ani czystszą nie jest a my pomimo to zmuszeni jesteśmy z niej czerpać i gasić pragnienie. Taką też jaką jest używać nigdy nie należy, tylko albo filtrowaną albo wreszcie w stągwiach ustałą.

Ś n i e g.

Śnieg, który dla pól jest takiem dobrodziejstwem, gdyż otulając puszystym swym płaszczem oziminy, chroni je od przemarznięcia, w mieście robi niemałe szkody, niszcząc pomniki z marmuru lub bronzu lub też ozdoby architektoniczne.

Śnieg sam przez się tak bardzo szkodliwym by nie był gdyby nie opalanie mieszkań węglem kamiennym. Od dymu węglowego bowiem śnieg nasyca się kwasem siarkowym, który w zetknięciu z tlenem zamienia się w kwas siarczany.

Przejęty kwasem siarczanym nader szkodliwie oddziaływa na powierzchnię marmuru, który wietrzeje i kruszeje tak szybko, że pomniki cmentarne w naszym klimacie, jeśli naturalnie nie są osłaniane na zimę, dość szybko niszczeją.

Ten szkodliwy wpływ dymu węglowego, nie ogranicza się tylko do samego miasta ale oddziaływa nawet na znacznej przestrzeni naokół miast większych.

Pomniki ze śpiżu lub bronzu również tracą na piękności pod wpływem kwasu siarczanego, zamiast bowiem zielonej barwy zwanej patyną, okrywają się z czasem brudno szarą powłoką.

Drzewa i krzewy iglaste również cierpią bardzo, gdy na ich gałązkach leży śnieg nasycony kwasem siarczanym.

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

W dzień zaduszny tak piękna przyświecała Warszawie pogoda, jaką już oddawna nie cieszyli się Warszawiacy. Tłumy też pobożnych ciągnęły w kierunku Powązek, ze smutnem wspomnieniem w sercu a pobożną myślą w duszy, że co z prochu powstało w proch się obróci a duch spłynie w tajemniczą krainę nieśmiertelności. Szczęśliwy kto tak czuł i korzył się w więzach ludzkiego samolubstwa.

Towarzystwo przeciwżebracze. Ustawa normalna dla towarzystw gubernialnych przeciwżebraczych jest już jak donoszą z Petersburga, w całości opracowana. Podług rzeczonej ustawy w każdem mieście gubernialnem może się zawiązać Towarzystwo filantropijne z celem: 1) wspierania biednych starców i kalek; 2) wyszukiwania pracy dla pozbawionych zajęcia; 3) dopomagania organom administracyjno-policyjnym w ukróceniu nadużyć żebraków podstępnie a niezasłużenie wyzyskujących miłosierdzie publiczne. Do zawiązania takiego Towarzystwa potrzebnych jest przynajmniej 100 członków zwyczajnych, płacących co najmniej po 3 ruble rocznie i 20 członków założycieli, wno-

szących jednorazowo najmniej 50 rubli wkładu. Prezesem każdego Towarzystwa gubernialnego ma być z urzędu gubernator, a reszta urzędników zarządu jest wybieralna przez członków z pomiędzy członków założycieli. Towarzystwo może udzielać wsparć prawdziwie potrzebującym, umieszczać ich na własny koszt w szpitalach i przytułkach, zakładać domy zarobkowe i t. p., wreszcie wszyscy członkowie Towarzystwa są obowiązani nie dopuszczać żebraniny po ulicach i domach. Członkami Towarzystwa mogą być wszystkie osoby pełnoletnie, tak mężczyzni jak i kobiety, a sprawami instytucyi kieruje zarząd i ogłasza corocznie sprawozdanie z obrotu funduszów i działalności instytucyi, ogólnemu zaś zgromadzeniu służy tylko prawo wyboru i występowania z wnioskami.

Czego dokonać może silna wola, pracowita wytrwałość, niezmożona cierpliwość, a nadewszystko energiczny zapał, ten zapał, który się rodzi nie w łonie rozpróżniaczonej fantazyi, ani czczych, choć różowych marzeń, lecz w umyśle nie mogącym żyć bez pola szerszej, społecznej działalności, tego widownią stoi dziś parafia Oporowska w dekanacie Kutnowskim.

Długie, bardzo długie lata panował tu ten rodzaj spokoju, który groził coraz większym zastojem pragnień, czynów i dążności. Lud wiejski tonął w grubym pomroku lichych pojęć, zaniedbywanych obowiązków i licznych błędów. Nie brakło wprawdzie nauczyciela wiejskiego, ani proboszcza, ale pierwszy musiał pilnować przedewszystkiem programu, drugi zaś mimo najlepszych chęci, jako chory nic działać nie mógł.

W dniu 10 Maja 1887 roku umarł proboszcz, ostatni zakonnik ze zgromadzenia Paulinów, w nędzy takiej, że na pogrzeb zbierano składkę, a w całej garderobie nie znalazła się ani jedna sztuka bielizny i ubrania, jakieby można przeznaczyć na ostatni strój zakonnika. Dlaczego tak było? Może na to odpowie parafia, może ci, którzy mu byli nieodstępni, którzy umiejętnie zarzucali sieci na dobroć i ofiarność kapłana.

W Sierpniu 1887 roku przybył z Warszawy nowy proboszcz do Oporowa, ks. Józef Szczucki, były wikaryusz a zarazem przewodnik młodzieży w szkołach prywatnych w Warszawie i odrazu zabrał się energicznie do pracy.

Kościół i plebania będące prawie w ruinie, domagały się gwałtownej restauracyi. Nie było ani jednego całego okna, drzwi, podłogi, wschodów i dachu. Gdyby ks. Szczucki pozwolił był na dalsze konserwowanie pleśni, brudu, nieporządku, napewno miałby niezamącony spokój, a może i życzliwych przyjaciół, ale, że zrobił inaczej, oburzył na siebie wielu.

Obecnie za to jednak restauracya kościoła na ukończeniu. Co tylko można było uczynić dla ozdoby, dla wspaniałości, wszystko to jest. Odrapana poprzednio z wierzchu świątynia, teraz błyszczy bielą tynku, wewnątrz poważna a łagodna gra kolorów, wdzięk spokojny a nieprzeparty; brak tylko marmurowej posadzki i nowych organów. Dzięki staraniom proboszcza, złożono także śpiewy chóralne.

A lud? Ten w ciągu jednego roku zaledwie, zmienił się bardzo i dziś już mniej między nim pijaków, złodziejów i rozpustników.

W każdą niedzielę proboszcz prowadzi z dziećmi naukę, która krzewi w młodziutkich, niewinnych duszach, piękne moralne zasady.

Nowemu proboszczowi zawdzięczyć także należy założenie nowego cmentarza grzebalnego, o którego koniecznej potrzebie wiedzieli wszyscy ale nie myślał nikt.

Nieraz daje się słyszeć ganiących ujemną stronę naszych instytucyi klubowych, które nie starały się urozmaicać rozrywek dla członków i po za kartami, bilardem i tańcami, nie potrafiły obmyśléć innego urozmaicenia. Mamy tu głównie na myśli dwie resursy, obywatelską i kupiecką.

Otóż pierwsza z nich postanowiła otrząsnąć się z dotychczasowej bezczynności i wprowadzić pożądane reformy.

Na posiedzeniu komitetu, na wniosek członka reprezentanta pana Dworzyckiego, uchwalono jak najrychlej urządzić na piętrze pokój dla dam.

Wybrano na ten cel piękną i obszerną salkę z lewej strony sali głównej. W salce tej wykwintnie umeblowanej, będzie postawiony fortepian i urządzona czytelnia dla użytku żon, sióstr i córek członków.

Tam więc każdy członek będzie mógł wprowadzać swoje rodziny i urządzać jakby domowe zebrania, które niewątpliwie obudzą martwe dotychczas życie towarzyskie resursy.

Nasze panie będą mogły nawet naśladować swych małżonków i grać w swoim salonie w karty, a od ich woli zależy prosić do udziału w grze panów.

Ci ostatni muszą się jednak wstrzymywać od palenia cygar i papierosów, gdyż zadawalnianie tego nałogu w damskim salonie musi być wzbronione.

Wogóle po tej inowacyi stałego wprowadzenia do resursy żywiołu niewieściego można się spodziewać wielu dobrych skutków, które niezawodnie wpłyną na rozwój instytucyi.

Nadto komitet uchwalił urządzenie jeszcze w ciągu b. m. wieczoru muzycznego dla członków i ich rodzin. Program wieczoru ma przeważnie wypełnić sympatyczna „Lutnia”, której członkowie są lokatorami resursy.

Chór damski. Radom wyprzedził Warszawę. W mieście tem istnieje chór damski, na który nasze warszawianki zdobyć się nie potrafiły. Chór radomski utworzył się w resursie obok męzkiego i liczy osiemnaście „słowików”.

Z Zakopanego piszą do nas: Wieść, że sąd najwyższy w Wiedniu unieważnił ostatecznie kupno Zakopanego na licytacyi, wielką tutaj wywołała radość. Zresztą zawitała już do Zakopanego zima. Po dość pogodnej jesieni spadły w ubiegłym tygodniu obfite śniegi, które całą okolicę pokryły na łokieć wysoko. Goście kąpielowi porozjeżdżali się już do domów z wyjątkiem kilku rodzin, które spędzają tutaj zimę; pomiędzy innymi pozostaje w Zakopanem doktor Chałubiński, którego zdrowie w ostatnim czasie znacznie się polepszyło.

Mięso do Anglii. Przed kilku dniami bawił w naszem mieście ajent angielskiego Towarzystwa, które zamierza w guberniach południowo-zachodnich utworzyć olbrzymią tucznię oraz rzeźnię wołów, z przeznaczeniem mięsa na wywóz do Anglii.

Ajent podążył do Żytomierza dla zwerbowania odpowiednich faktorów i pośredników.

Watykan zawiera 11,500 pokojów. Dwór papieski składa się z 20 kamerdynerów wyższego stopnia (majordomus), 120 prałatów domowych, 170 tajnych podkomorzych, 6 podkomorzych, 30 oficerów gwardyi szlacheckiej, 60 gwardzistów, 130 nadliczbowych podkomorzych, 200 nadliczbowych honorowych podkomorzych, 14 oficerów szwajcarskich gwardyi pałacowej, 7 honorowych kapelanów, 7 zewnętrznych kapelanów, 20 tajnych pisarzy, 10 intendentów i stalmajstrów, 50 lokajów i t. d., ogółem 1,160 osób. Dodać należy święte kolegium i prałatów.

Kolonie polskie w Brazylii. W Brazylii istnieje kilka kolonii polskich, a mianowicie Rio Grande de Sul, w Grand Parana i w Santo Catherino. W Curitibie zaś w prowincyi Parana, wychodzić zaczęło pismo polskie p. t. Wiarus w Brazylii.

W Wiedniu mają być obecnie dawane, wedle doniesień gazet berlińskich, przedstawienia teatralne w języku polskim. Nic by w tem nie było nowego, gdyż już przed 32 laty polski teatr istniał w Wiedniu, za sprawą nieboszczyka Pfeifra, niegdy dyrektora teatru krakowskiego, który w roku 1856 w Maju, zjechawszy do stolicy państwa austryackiego, w teatrze tamtejszym na Wiedence (an der Wien), dał szereg przedstawień. Widownia ta znaną była poprzednio z przedstawień głośnych w swej epoce takich sztuk, jakiemi były: Chłop milionowy, Gałganduch i t. d. W pomienionym roku wystawił Pfeifer w Wiedniu: Krakowiaków i górali, Napoleona w Hiszpanii, Zemstę za mur, Okrężne, Icka zapieczętowanego, Stacyę pocztową w Hulczy, Chłopów arystokratów, Żydów, Łobzowian i t. d. Ostatnie przedstawienie na którem wystawiono Staroświeczczyznę i postęp czasu, odbyło się dnia 20 Czerwca pomienionego roku. Reprezentacya owa była przepełniona publicznością; polonez tańczony trwał pół godziny, wśród oklasków i bukietów rzucanych na scenę, przy głośnych żądaniach, aby teatr polski i dalej pozostał w Wiedniu. Gazeta austryacka *Ost Deutche Post* i wogóle wszystkie najcelniejsze tamtejsze dzienniki o przedstawieniach teatru polskiego, bardzo pochlebnie się wyrażały. Z artystów, jako odznaczających się, wyszczególniono: panny Radzyńską i Ładnowską, (dzisiejszą panią Rakiewiczową), tudzież Ładnowskiego (ojca), którego Icka przetłomaczono zaraz na język niemiecki, wreszcie wspominano grę dobrą: Sulikowskiego, Królikowskiego i Wisłockiego. Rok przedtem, t. j. w roku 1855, gościł ze swą trupą Pfeifer we Wrocławiu, doznając w mieście tem, jak najlepszego przyjęcia.

Świeże jaja. Adwokat John R. Halsey z Nowego-Yorku, jeden z przewodniczących członków Towarzystwa przedsiębiorców dostarczania świeżych jaj, w celu zaopatrywania kundmanów swoich w towar bez zarzutu, wymyślił następujący pomysł: Za jego radą Towarzystwo za 10,000 dolarów nabyło kur, które pomieszczono w umyślnie zbudowanych kurnikach, pod okiem znających się na rzeczy ludzi. Ile razy kto z kupujących zażąda świeżych jaj, w miejsce tych ostatnich posyłają mu wieczorem do domu kurę, a ta przez noc niewątpliwej świeżości jajko znosi. Kury dostawiane są do domów w plecionych koszykach, zaopatrzone w pożywienie i wodę, z zakneblowanym dziobem, aby gdakaniem nie budziły mieszkańców.

Za wynajętą kurę płaci się z góry, nie więcej jak za jedno jajko po cenach targowych. Jeżeli jajko próżne lub wcale go kura nie zniesie, traci kupujący, jeżeli zaś zniesie więcej jak jedno, robi oczywiście dobry interes.

— Paroksyzm więc febry był wczoraj?
— Był, panie doktorze.
— A gorączka?

— I gorączka także, ale to najgorsze, że mi nogi spuchły.

— To dla mnie nic nie znaczy.

— Bardzo wierzę, bo gdyby doktorowi nogi spuchły, toby to dla mnie także nic nie znaczyło.

* * *

Awantura śmieszno tragiczna odbyła się niedawno w Odesie, w której król bankierów europejskich, baron Alfons Rotszyld, o mało nie stał się ofiarą swej popularności między synami Izraela. Zaprowadzony w wigilię „sądnego dnia" do synagogi, otoczony został natychmiast przez tłum ciekawych. Tylne szeregi parły na przednie i na odwrot, w środku zaś znajdował się baron. Oględzinom niezwykłego gościa towarzyszył zwykły w takich razach wrzask ogłuszający. Wystraszony takiemi owacyami bankier salwował się ucieczką z synagogi, co mu się też udało po postradaniu guzików od kamizelki i surduta. Lecz za uciekającym do hotelu Rotszyldem biegł tłum, przewracając się bezustannie i popychając, a krzyczał przytem w niebogłosy: „Niech żyje Rotszyld!" Przed hotelem massa Żydów ścisnęła go między wejściem a latarnią, tak, iż bankier może nie byłby wyszedł cało z tych opałów, gdyby go służba hotelowa nie oswobodziła od zachwyconych współwyznawców.

* * *

— Jakże ci na imię?

— Franciszek, tak jak ojcu.

— A stryjowi?

— Także Franciszek.

— A braciom?

— Starszemu Franciszek a i młodszemu także Franciszek.

— Czyż podobna aby wszyscy jedno imię mieli.

— Nie jedno, bo ja z ojcem to Franciszek Salezy, stryj a Paulo, a bracia jeden Franciszek Ksawery a drugi...

— Koniec końców, zawsze Franciszek, dlaczegóż to?

— Dlatego, żeby nie potrzebować zmienić firmy, gdyby z nas jeden umarł.

* * *

Podstarzały furfant mizdrzy się straszliwie do szesnastoletniej panienki, zdającej na patent egzamin.

— Świat gdy ujrzy panią — mówi do niej podczas spoczynku na tanecznej zabawie — cały odmłodnieje, a ja stanę pierwszy w szeregu jej wielbicieli...

— Wielbicieli?

— Tak, pani, wielbicieli, bo dziś już jestem cały dla ciebie oddany...

Panienka zmieszana rumieni się i spuszcza oczy.

— Nie wierzysz mi pani? Rozkazuj co mam uczynić, a wszystko uczynię...

— Ah! to dobrze, to zrób pan za mnie ćwiczenie francuzkie, które mam jutro złożyć już gotowe.

Teraz podstarzały furfant zarumienił się bo nie umiał po francuzku a wiedział, że dziewczce nie jest to tajne.

— To sikorka! — pomyślał sobie.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Nakładem Teodora Paprockiego i S-ki, w bardzo starannem wydaniu świeżo opuściły prasę następujące książki:

Swiat ludowy przez Sewera, zawierający nowelle: Dla świętej ziemi. Kasia. Hanka. Dola.

Wilki oraz inne szkice i obrazki Klemensa Junoszy z illustracyami Fr. Kostrzewskiego.

Bardzo wygodnie urządzony **Kalendarz** do zdzierania na rok 1889, wyszedł nakładem składu papieru Bednawskiego, ulica Miodowa N r 497*b*.

Kalendarz popularno-naukowy illustrowany, Józefa Ungra, na rok zwyczajny 1889, opuścił prasę i zawiera wiele pięknych rycin, poezyi, nowelek i opowiadań celniejszych autorów naszych. Dział kalendarzowy i informacyjny starannie opracowany. Cena 50 kop.

Owoc zakazany, komedya w jednym akcie wierszem, przez Ludwika Niemojowskiego. Cena 15 kopiejek.

ZAWIADOMIENIA.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs.3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

Дозволено Цензурою, Варшава, 26 Октября 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.